

MARTA KŁADŹ-KOCOT

NOC KOTA
DZIEŃ SOWY



 GENIUS
CREATIONS

MARTA KŁADŹ-KOCOT

NOC KOTA, DZIEŃ SOWY

TOM PIERWSZY: ZAMEK CIENI



[Kup książkę](#)

SPIS TREŚCI

CZAS MIASTA	6
CZAS TEGO, CO BYŁO	36
CZAS SPLATANIA WIĘZÓW	118
CZAS LUSTER	210
CZAS PODRÓŻY	275

*Mojemu Najbliższemu Mirkowi
i Tośce, Najwspanialszej Siostrze na Świecie
– dwóm Najbardziej Kocim Osobowościom*

Dlatego niewykluczone, że postacią najbliższą neonietzscheańskiej wizji poety mocnego [...] jest Roland Barthes z *Fragmentów dyskursu miłosnego*, który zaleca wprost, by piszący, zamiast bać się słów-wyświechtanych liczmanów, rzucił się śmiało w kolisko wiecznego powrotu języka i zagarnął dla siebie banał, tchnąc weń życie własnej emocjonalności. Analiza „kocham-cię”, najbardziej wytartej z fraz, zmierza właśnie ku takiej konkluzji: ażeby wcielić się w ów zużyty kostium i ożywić go na nowo mocą własnego performatywu, nie oglądając się na to, że inni od wieków, wypowiadając ją, czynili to samo, tak samo i w tej samej sytuacji.

Agata Bielik-Robson, *Autorportret w nienietzscheańskim zwierciadle*

CZAS MIASTA

Port śmierdział potężnie, nie sposób było się pomylić. Wiatr niósł zapach zepsutych ryb, przeżartych morską solą desek i nadgniłych wodorostów. Ponad zapadającymi się dachami domów portowej dzielnicy widać było kołujące w górze mewy, niekiedy z głośnym skwirem nurkujące w dół. Podróżny, dość jeszcze młody i odziany w niczym niewyróżniający się bury płaszcz, poprawił popręgi muła i spojrzął ze wzgórze na rysujące się w dole, widoczne spoza murów miasto, po czym z westchnieniem dołączył do zmierzającego w stronę miejskiej bramy tłumu spieszącego na targowisko. Popatrzył przelotnie na kupców jadących na załadowanych wszelkim dobrem wozach i rolników dźwigających wielkie kosze warzyw, jaj i serów, wiodących skrzypiące wózki pełne rozwrzeszczanego ptactwa.

Podróżny zmrużył oczy, spoglądając pod słońce w kierunku odległego portu, z którego wychodziła właśnie piękna karawela. Dachy portowej dzielnicy opadały stromym zboczem w dół, a ich poszarpana linia kończyła się na nabrzeżu, zgrabnie przechodząc w drewnianą keję. Na końcu lśniło lustro morza i jeżyły się maszty stłoczonych przy pirsie łodzi.

Port, podróżny powtórzył w myśli zasłyszane informacje. Nie chodź tam po zmroku, jeśli nie chcesz skończyć z nożem między łopatkami. Nie zadawaj się z mewkami, bo zostaniesz

nie tylko bez pieniędzy, ale nawet bez spodni. Nie wchodź do tawern przy nabrzeżu, jeśli nie chcesz, żeby cię stamtąd wynieśli nogami do przodu. Na wszelki wypadek nie pytaj, czyja łódź stoi przy kei i dlaczego rzekomy rybak ma tatuaże na całym ciele.

Nowo przybyły odwrócił wzrok od dalekich masztów, które z tej odległości wydawały się małe jak igły. Na chwilę wbił spojrzenie w plecy idącego przed nim kupca, a potem popatrzył w drugą stronę, na tonące w zieleni białe mury i ceglaste dachy eleganckiej dzielnicy, położone na zboczu niewysokiego wzgórza. Na jego szczycie królowała ponura, strzelista budowla z szarego kamienia, której liczne wieże zdawały się obserwować miasto mnóstwem ciemnych otworów strzelniczych i małych, zakratowanych okien. Na ten widok nieznajomy wzdrygnął się instynktownie. Spróbował przypomnieć sobie wszystko, czego się dowiedział. Miasto miało trzy punkty, wokół których koncentrowały się całkowicie odmienne rodzaje życia: port, targowisko i Zamek Cieni, ponure miejsce zbudowane ponoć przed wiekami przez jakiegoś szalonego rycerza. O pierwszym już wszystko wiedział, a raczej wiedział, dlaczego nie powinien się dowiadywać. Drugie było strefą względnie bezpieczną – przynajmniej jak na standardy tego miasta, dostępną dla wszystkich, znacznie bardziej niż port zatłoczoną i prawie tak samo śmierdzącą. Punkt trzeci był zaś przyczyną jego przybycia i na myśl o tym młodzieniec poczuł spływającą po plecach strużkę potu.

Schodząc ze wzgórza w tłumie rozgadanych kupców, trajkoczących wieśniaczek i rozkrzyczanego plectwa, stracił w końcu z oczu panoramę miasta. Przed jego oczami wyrosły wysokie mury z szarego kamienia, wznoszące się ponad pstrokato odzianymi postaciami, końskimi zadami i białymi czepkami kobiet. Nareszcie zobaczył wysoką, kutą w lilie, szeroko rozwartą miejską bramę, przy której kłębił się tłum. Wreszcie nadeszła kolej – był dzień targowy, więc wartownicy

spieszyli się. Nieznajomy przełykał ślinę i w ostatniej chwili gorączkowo się zastanawiał, czy mimo wszystko nie lepiej było przebrać się za kupca. Nieważne, teraz już i tak było na to za późno.

– Skąd? – zapytał strażnik, nie zadając sobie nawet trudu wyartykułowania pełnego zdania.

– Z Blenvingardu – wychrypiał przybysz przez ściśnięte gardło. Do tej pory nie uważał się za tchórza, ale teraz był skłonny zmienić zdanie. W każdym razie strużka potu na plecach przybrała już szerokość strumyka, a do tego zwilgotniały mu dłonie.

– Z czym?

Pokazał list, starając się nie zostawić na nim lepkich odcisków palców. Strażnik chyba słabo czytał, bo zmarszczył brwi i sylabizował w milczeniu. Na to przecież liczyli członkowie Bractwa, wymyślając takie, a nie inne incognito. Dawało ono młodzieńcowi prawo do poruszania się po mieście, nie będąc zbyt indagowanym przez nikogo, bez zbędnego kramu, który musiałby taszczyć, gdyby przebrał się za kupca.

Do zmagającego się ze słowem pisany strażnika dołączył kolega, który przepuścił właśnie wiejską kobietę niosącą na targ kosze jajek i warzyw. Kilku innych lustrowało wzrokiem zmierzających do miasta kupców, rewidowało niektórych, konfiskowało to i owo. W cieniu sklepienia bramy stały oparte o mur kusze, tarcze i włócznie wraz z drewnianym zydlem na krzywych nogach i asortymentem świadczącym o tym, że ktoś przed chwilą brał się do czyszczenia tej dość wiekowej broni.

– Virbio Allenma... Allenmargh z Blenvingardu. – Strażnik odczytał nazwisko, przerywając podróżnemu kontemplowanie braków w wyposażeniu kordegardy. – Agent banku Forti... narich, wizyty... wizytujący...

– ...na polecenie zwierzchników filię w Castelburgu. – Drugi strażnik najwyraźniej nie miał aż tak podstawowych braków w edukacji.

Młodzieniec skinął głową.

– Skoro tak, nie trzeba nam panom bankierom w interesach mieszać. – Pierwszy oddał młodzieńcowi list.

Virbio, prawie nie wierząc własnemu szczęściu, ujął uzdę muła i przekroczył bramę, zostawiając za sobą strażników. Strużka potu zaczęła powoli wysychać. Kopyta zwierzęcia miękko stukały po bruku. Porwany przez ludzką rzekę, poddał się jej prądowi i zanurzył pomiędzy szereg kamienic, tracąc z oczu górujący nad miastem zamek. Wędrował przed siebie, początkowo zagubiony i spłoszony, bo nie podróżował do tej pory poza rodzinne miasto. Tutaj domy ponuro szczyrzyły okiennice, a uliczki układały się w plątaninę dość przewrotnych ścieżek, które nagle się urwały, otwierając przestrzeń wypełnioną lasem kolorowych płóciennych straganów, w większości pamiętających czasy, gdy miastem władowała Rada Pięćdziesięciu. Virbio przystanął na chwilę, po czym z westchnieniem zanurzył się w ten gąszcz. I na początek skutecznie zabłądził.

Dopiero po południu udało mu się znaleźć zajazd Pod Złotą Podkową, neutralny i w miarę bezpieczny, bo zatrzymywali się w nim zamożni kupcy handlujący pachnidłami i zamorskimi przyprawami, złotnicy i sprzedawcy kosztownych tkanin, którzy zazwyczaj utrzymywali własną, choć niewielką eskortę. Tę tawernę polecili mu członkowie Bractwa, choć to nie tu miał czekać na znak. Skrzynka kontaktowa znajdowała się w małej winiarni tuż obok banku Fortinarich, który dla porządku musiał odwiedzić. Ale na pewno nie był na tyle głupi, żeby pognać tam od razu. Miał czas.

Przez kilka kolejnych dni włóczył się po mieście, odwiedzał targowisko, wdawał się w niewinne pogaduszki z kramarzami i przekupkami. Układał sobie w głowie topografię Castelfurga. Czekał. Instynktownie omijał okolice Zamku i drżał, ilekroć widział jego posępny cień, kładący się czarną plamą na dachach domów. Bardzo chciał podjąć jakieś działanie. Jakie-

kolwiek. Ale bał się zrobić coś głupiego, a drobnych głupstw zrobił mnóstwo. Na przykład wyciągnął sztylet, żeby obronić się przed zbyt natrętnym żebrakiem, a potem długo biegł wąskimi uliczkami, bojąc się, że dopadnie go straż. Uciekł też przed natarczywą uliczną dziewczką, zostawiając jej w rękę własną skórkową rękawiczkę. Długo ścigał go jej śmiech.

Był w winiarni, ale nie dowiedział się niczego ciekawego. Agent Bractwa na razie nie pojawił się. Virbio nie wiedział, co to znaczy.

Aż w końcu ów agent odnalazł go. Wyglądało to na przypadek, choć z pewnością nim nie było. Virbio jak zwykle włóczył się uliczkami, przeciskał przez tłum na targowisku. Zagapił się na piękność w jedwabnym czepcu i wtedy ktoś silnie potrącił go w ramię, a następnie głośno ofuknął za gapiostwo. I błysnął mu przed oczami pierścieniem z herbem Castiglianich. Młodzieniec spojrział zdziwiony, bo agent okazał się mocno otyłym człowiekiem w średnich latach, który, zwymyślawszy go głośno za ślepotę, mruknął pod nosem: „Idź za tamtym mężczyzną. A potem do winiarni”. I rozpląnął się w różnobarwnym tłumie.

Wskazany człowiek krążył pomiędzy straganami pozornie bez celu, zamiatając uliczny pył długim szarym płaszczem. Zarzucony niedbale na głowę kaptur zsuwał się odrobinię, ukazując wyrazistą twarz i szare włosy do ramion. Na ramieniu siedziała mu, mrużąc oczy w świetle dnia, nieduża sowa płomykówka. Trudno było określić jego wiek. Wydawał się nie mieć więcej niż czterdzieści lat, a może nawet mniej, a jednocześnie coś w jego postawie sugerowało człowieka doświadczonego, uczonego albo medyka. Kiedy nieznajomy minął Virbia, prawie potrącając go ramieniem, ten poczuł ciarki na plecach. Dotknęło go coś jakby uderzenie powietrza, drgnienia światła, iskry mocy. Nagle zrozumiał. Nieznajomy był magiem.

Chłopak przełknął ślinę i zanurkował w tłum w ślad za znikającym szarym płaszczem. Bał się zgubić trop, a jednocześnie zaczął się obawiać, że sam jest śledzony. Kilka razy obejrzał się za siebie, czując wbite w swoje plecy spojrzenia. Zauważył kątem oka postać, która oderwała się od straganu płatnerza i ruszyła przed siebie pozornie bez celu, parę kroków za nim. Virbio nie potrafił powstrzymać nerwowego zerkania do tyłu, aż w końcu prawie rozbił dzbany ustawione obok kramu garncarza. Gdy zobaczył przechadzających się niespiesznie pomiędzy straganami miejskich strażników, ostatecznie zrezygnował z pościgu za czarodziejem, który już niemal zniknął mu w tłumie. Uznał, że powinien przede wszystkim zgubić ogon. Wkroczył do pierwszego lepszego szynku i zamówił dzban wina. A potem następny. Nie zamierzał już tego wieczoru nigdzie się ruszać. Wyjąwszy winiarnię, w której miał spotkać się z agentem. Czuł się w tym wielkim, portowym mieście mały i zagubiony.

Jeszcze bardziej mały i zagubiony poczuł się, gdy wieczorem wreszcie spotkał agenta Bractwa twarzą w twarz. A ten obsobaczył go w soczystych słowach za niewykonanie prostego zadania, dał krótkie, acz precyzyjne instrukcje i wysłał do wieży maga. „Zwerbuj go”, powiedział tylko, dorzucając do tego polecenia garść użytecznych informacji i obietnic, mających skłonić czarodzieja do współpracy.

*

Przemykając nocą przez prawie puste ulice, Virbio przeklinał w duchu własną głupotę. Dłoń na rękojęści sztyletu spotniała nieprzyjemnie. Wieża leżała w pobliżu portowej dzielnicy. Agent Bractwa wytłumaczył mu dość dokładnie, jak do niej trafić, a droga, choć prosta, nie należała do najbezpieczniejszych. Na sąsiednich ulicach pomimo nocnej pory

było całkiem gwarno, a gdzieniegdzie wędrowali całą szerokością drogi pijani żeglarze, wyśpiewujący głośno i ochryple pieśni na chwałę jakiegoś statku lub dziewczyny. Od tawern rozlegały się odgłosy kłótni i mordobicia, czasem jakiś pojedynczy, kończący się nagle wrzask.

W końcu Virbio dostrzegł w świetle księżycy piętrzącą się wyniosłe i nieco posepnie budowlę z szarego kamienia, wystającą wprost z nadkruszonego muru. Pochylała się do przodu, strasząc ukośnym cieniem, jakby groziła, że lada chwila się zawali. W spojeniach, spomiędzy nadwątłej zaprawy, wyrastały długie brody mchów, traw i paproci. W małym ostrołukowym okienku na piętrze pełgało światło. Oprócz tego śmierdziało wilgotną piwnicą i kocimi szczynami.

W zaułek weszła hałaśliwa grupa żeglarzy, wymachujących dzbanami wina i wyrzaskujących wulgarnie pijackie przyspiewki. Virbio jak szary cień przywarł do wielkich, okutych żelazem drzwi wieży. Wilgotną dłonią ujął kołatkę i delikatnie zastukał. Potem drugi raz. Potem mocniej. W końcu zamarł i przywarował w wykuszu. Przez dłuższą chwilę nie działo się nic, a rozbawiona, usposobiona do bitki hałastrza zbliżała się coraz bardziej. Nagle w drzwiach ze zgrzytem uchyliło się małe okienko.

– Kto to? – zapytał cichy, ku jego zdziwieniu kobiecy głos.

– Do mistrza Jardala. Potrzebujący – wykrztusił Virbio.

Jęknęła podnoszona sztaba, drzwi zaskrzypiały i uchyliła się w nich mała szpara. Virbio pospiesznie wsunął się do środka, do ciemnej, wąskiej sieni, z której wznosiły się na piętro kręte schody.

Stała przed nim młoda kobieta, całkowicie mokra. Z jej zlepionych w strąki włosów kapała woda, biała koszula kleiła się do ciała, a na schodach za nią widać było wilgotne ślady. Najwyraźniej dopiero wyszła z kąpeli i narzuciła na siebie tylko tę koszulę, a plecy okryła zielonym płaszczem, który zsuwał jej się z ramion. Drżała z zimna. Mokre płótno sta-

nowczo zbyt szczelnie przylegało do piersi, oblepiając sutki, i chłopak poczuł się dziwnie w tych rejonach ciała, w których wcale nie chciał się tak czuć. Kobieta trzymała w dłoni świecę osadzoną w srebrnym lichtarzu. Minęła Virbia i zamknęła drzwi, zasuwając sztabę, a potem bez słowa poprowadziła go na piętro.

Weszli do niewielkiej komnaty, oświetlonej jedynie kilkoma świecami i ogniem płonącym na kominku. Wzdłuż ściany piętrzyły się półki pełne ciężkich, opasłych ksiąg, niknąc w głębi i prowadząc dalej, aż poza otwarte drzwi, do następnej komnaty. Okucia i złożone napisy na grzbietach woluminów migotały w blasku ognia, co sprawiało, że książki wydawały się prężyć grzbiety i szczyrzyć zęby niczym rojowisko żywych, głodnych i niebezpiecznych istot. Na dużym drewnianym stole leżały w nieładzie pióra, kałamarze, nożyki do ostrzenia i stosy zapisanych kart pergaminu. Na podłodze, porzucone niedbale obok wielkiej księgi, rozwartej na ilustracji przedstawiającej jakiegoś rogatego potwora, stało pięknie wykonane astrolabium. Ogień pełgał w witrażu okna, zatrzymując się na retortach, alembikach, tyglach, kamiennych mózdzierzach i słojach z dziwną zawartością, zgromadzonych na podłużnej ławie pod jedną ze ścian. Pod sufitem, z którego zwieszała się kulista mapa sfer niebieskich, suszyły się pęki ziół. Za parawanem stała balia, a wokół niej lśniły na kamiennej posadzce kałuże rozchlapanej wody. Pachniało mydłem, tatarakiem, kurzem i starym pergaminem. Między kominkiem a oknem stały zwrócone do siebie dwa okryte skórą krzesła. Nieznajoma odwróciła się do Virbia i wskazała mu jedno z nich. Usiadł. Dopiero wtedy mógł się jej przyjrzeć.

Zobaczył, że w jej mokrych włosach odbłask ognia odbija miedziane refleksy. I że jest drobna, a dłonie ma białe, bardzo szczupłe. Trudno było określić jej wiek. Wydawała się młoda, ale nie sprawiała wrażenia nieśmiałej. Poruszała się z pewnością siebie kobiety dojrzałej, lecz bez zalotności, bez zachęty.

Patrzyła twardo, ostro. Oczy miała szarozłote i bezlitosne, choć w jej spojrzeniu nie było kpiny.

Przysunęła drugie krzesło do ognia, usiadła bokiem do gościa, zbliżyła zziębnięte stopy do paleniska. Uniosła dłonie na wysokość głowy. Virbio prawie krzyknął, kiedy jej włosy uniosły się w górę, poruszone wydobywającym się spomiędzy palców strumieniem ciepłego powietrza. Spokojnie rozdzielala pasma, susząc je. Po chwili wokół jej twarzy opadły miękkie loki w kolorze miedzi, świeże i lśniące.

– Teraz możemy porozmawiać. – Czarodziejka oparła się wygodnie, szczelnie owijając zielonym płaszczem i ignorując fakt, że ma pod spodem mokrą koszulę. – Jak cię zwą i z czym przychodzisz?

Virbio przełknął ślinę, odchrząknął, przedstawił się.

– Ale... chciałem rozmawiać z mistrzem Jardalem, pani – dodał. – Do niego mam sprawę. To znaczy... do niego mnie posłano – dokończył. Widząc ostre jak sztylet spojrzenie kobiety, zrozumiał, że palnął głupstwo.

Nagle aż cofnął się na krzesło, bo na kolana czarodziejki wskoczył imponująco wielki, bury kocur. Przeciągnął się leniwie, zasyczał wyginając grzbiet, a potem ułożył się wygodnie i zaczął spokojnie czyścić futro. Było w nim coś, co sprawiało, że przybyszowi ciarki przebiegły po karku. Miał wrażenie, że nigdy wcześniej nie widział kota nie tyle tak dużego, co w tak zdumiewający sposób pełnego osobowości. Szarozielone, przymrużone ślepią świeciły dziwnym blaskiem, z futra sypały się iskry, trzeszczało elektrycznością.

– Cóż... – powiedziała czarodziejka. – Jeśli chcesz spotkać mistrza Jardala, musisz przyjść za dnia. Nie mamy więc powodu, aby dłużej ze sobą rozmawiać. Żegnam. – Wstała, biorąc jednocześnie na rękę kota, unosząc go z trudem i sadzając na krzesło.

– Nie mogę! – wykrzyknął. – To znaczy, mogę. – Zmieształ się i odwrócił w bok zakłopotane spojrzenie. Zacerwie-

nione policzki zaczęły przypiekać jak ogniem. Czuł coraz większą złość na samego siebie. – Ale już raz zaryzykowałem, przychodząc tu. Jestem śledzony. Nie każ mi czekać, pani.

Parsknęła krótkim śmiechem.

– Wszyscy, którzy przyjeżdżają do Castelburga, są lub przynajmniej czują się śledzeni. Naprawdę nie ma się czym przejmować. Ale skoro tak bardzo ci zależy... – wyciągnęła rękę, by pogłaskać kota – nie masz wyjścia i swoją sprawę musisz przedstawić mnie. A ja powtórzę ją mistrzowi tak wiernie, że nie straci ani jednego słowa. Jakby sam przy tym był.

Kot wygiął grzbiet w kabłąk, zeskoczył z oparcia fotela i otarł się o jej kolana, wpatrując się w jednocześnie w Virbio świdrującym spojrzeniem. Młody człowiek poczuł nagle nawrót wszystkich zabobonnych myśli, jakie kiedykolwiek w życiu go nawiedzały i odczuł niejasną potrzebę posiadania amuletu przeciwko złym czarom. Nieznajoma czekała cierpliwie, nie odrywając się.

– Żądasz zaufania, pani, a nawet nie usłyszałem jeszcze twojego imienia – powiedział ostrożnie, usilnie starając się nie zwracać uwagi na kota.

– Proszę bardzo. Nazywam się Mear de Witten. I przypuszczam, że nic ci to nie mówi.

Virbio zastanowił się głęboko, ale istotnie, nic mu to nie mówiło. Nie wiedział nawet, dlaczego miałoby. Poczuł, że utknął. Nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć i jak postąpić. Instrukcje otrzymane od agenta nie przewidywały rozmów z nieznanymi czarodziejkami, które właśnie wyszły z kąpieli i za pomocą magii wysuszyły sobie włosy.

Kobieta, która przedstawiła się jako Mear, wcale nie ułatwiała mu sprawy – bo zresztą dlaczego miałaby. Przyparły do muru pomiędzy dezorientacją, chęcią wykazania się i obawą przed kolejną porażką, Virbio postanowił spróbować Dyplomacji. Z pełną świadomością, że jego kwalifikacje w tej dziedzinie, oparte jedynie na kilku lekcjach polityki,

udzielonych dawno temu przez domowego nauczyciela, są co najmniej wątpliwe.

– Nie przychodzę we własnym imieniu – zaczął ostrożnie. – Przysłała mnie potężny, wpływowy dostojnik. A właściwie grupa dostojników. Mają oni nie tyle prośbę, co ofertę. Pewien czarodziej popadł bowiem w konflikt z Kapitułą i musiał osiedlić się... dość daleko od swoich konfratrów. – Mear podniosła głowę i zacisnęła usta. Virbio uznał, że zmierza we właściwym kierunku, więc ciągnął: – Te dostojne osoby chcą osiągnąć pewien cel i mają po temu wszelkie środki – broń, pieniądze, ludzi. Jednak na przeszkodzie stoi nie tylko taki sam zasób środków u przeciwnika, ale również magia. Dlatego potrzebują czarodzieja... I jeśli czarodziej zgodzi się udzielić pomocy, moi mocodawcy obiecują wyjednać mu u Kapituły przebaczenie win.

Zamilkła, czekając na odpowiedź. Nieznajoma odwróciła twarz w stronę kominka i zapatrzyła się w ogień, a Virbio z napięciem obserwował jej jasny profil w obwódce rudych, ożywionych blaskiem płomieni włosów.

– Przebaczenie... win – powiedziała. Głosem stalowym, głuchym, obojętnym. – Ale, panie Virbio Allenmargh z Bleavingardu, nie było żadnej winy. I nikt tu nie pragnie przebaczenia. A twoja oferta to puste słowa i zwodnicze obietnice. Oszukano cię. A teraz już naprawdę żegnaj.

Wzięła ze stołu świecę i poprowadziła go na dół, do wyjścia, po stromych, kamiennych schodach. Rozpływał się w powietrzu zapach mydła, tataraku, kurzu i starego pergaminu. A także jakaś inna, nieuchwytna woń. Sandałowca i róży. Zza uchylonych drzwi buchnął smród portowej dzielnicy. Virbio, zawiedziony i zły, odwrócił się w progu i powiedział z rozpaczą:

– Pani, daj mi jeszcze jedną szansę. Jeśli mistrz Jardal jest gotów nas wysłuchać, niech przyjdzie jutro w południe do winiarni Pod Przewróconym Dzbanem. Tuż koło banku Fortinarich.

– Dobrze. Powtórzę mu – odpowiedziała. – Tyle mogę ci obiecać.

Skrzypnęły rozwierane szerzej drzwi. Z oddali dobiegały odgłosy burdy w pobliskiej tawernie.

– Chwileczkę – usłyszał i wyczuł, że kobieta zwana Mear uśmiecha się przewrotnie w ciemnościach. – Muszę jeszcze wypuścić kota.

*

Virbio schował głowę w ramiona. Wydawało mu się przez chwilę, że lecący na niego grad obelg przybierze materialną formę. W panice rozglądał się wokół, po drewnianych ścianach obwieszonych pękami suszonych ziół i przydymionym od świec suficie jednego z pomieszczeń winiarni Pod Przewróconym Dzbanem. Zastanawiał się, kiedy grzmiący głos jego sąsiada przy stole ściągnie jakieś niepożądane uszy, w najgorszym zaś przypadku zamkową gwardię. Jednak jego rozmówca wydawał się tym zupełnie nie przejmować, wołając do karczmarza o wino i smażone ryby, gotowane kraby, małże, sery i inne smakowitości, a w przerwach systematycznie mieszając go z błotem. A człowiekiem tym był nikt inny, jak jego jedyny tutejszy kontakt, agent Bractwa, Dionisius Grandini. Virbio słyszał o nim co nieco jeszcze w Blenvingardzie, ale rzeczywistość zdołała już przygnieść go do ziemi. Słynny Grandini okazał się średniego wzrostu, niezwykle otyłym człowiekiem po pięćdziesiątce, obnoszącym swoją łysiejącą głowę, rzadką brodę i ogromny brzuch z godnością co najmniej kupca handlującego diamentami. Ubrany był w zapinany na złote guziki, rozpaczliwie trzeszczący w pasie czerwony kaftan, a na prawie każdym palcu nosił złoty pierścion z ogromnym kamieniem. Do tego, odkąd tylko usiedli w winiarni, bez przerwy jadł i pił. I gadał. Virbio dziwił się głęboko, jakim cudem temu człowiekowi udało się pozostać

w Castelburgu po zmianie władzy, i dlatego u licha uchodzi on za tak wybitnego agenta, skoro sprawia wrażenie, jakby był w stanie wypaplać wszystkie posiadane tajemnice przy jednej kolacji. A do tego nie krępuje się nawet na tyle, żeby zniżyć głos. Sposób wysławiania się Grandiniego, malowniczy i beztroško mieszający wszystkie możliwe style, od słów używanych przez wykształconych synów szlacheckich rodów do mowy pospólstwa, również budził podziw i zdumienie Virbia. Chodziły słuchy, że agent za młodu był piratem, a jego sława sięgała ponoć tak daleko, że zapewniała mu bezpieczne poruszanie się po portowej dzielnicy. Patrząc na Grandiniego, młodzieniec sam już nie wiedział, w co powinien wierzyć.

– Gospodarzu, wyborny był ten wędzony łosoś... Może by tak jeszcze trochę? – wykrzyknął agent w kierunku otwartych drzwi. Siedzieli w niedużej, tylnej sali i nikogo oprócz nich w niej nie było. Virbio został tam skierowany zaraz po przyjeździe, gdy tylko podał karczmarzowi hasło, a teraz ponownie spotkał się tu ze starszym agentem. I dostał twardą szkołę życia.

– Ty ciężki idioto – kontynuował Grandini, w przerwach pomiędzy wysysaniem szczypców kraba – więc jakim imieniem, powiadasz, się przedstawiła?

– Mear – wydusił z siebie Virbio. – De cośtam.

– A tobie to nic, gołowasio pstrokaty, nie mówi?

Młody człowiek zaprzeczył bezgłośnie.

– Niech mnie ślimaki i piranie zeżrą! Panowie z Blenvingardu przysłali mi tu młodzika, którego należałoby do szkół, a nie do Castelburga wysłać. I jak ja mam z tobą coś zdziałać, gdy ty ledwie do wieży poleźć potrafisz, a wracasz z niczym. Dziękuję, przyjacielu – powiedział do karczmarza, który dostarczył rzezonego łososa, przynosząc jeszcze na wszelki wypadek dzban wina. Virbio wzdrygnął się, zerkając na wciąż półotwarte drzwi, za którymi zniknął gospodarz, ale Grandini zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

– Czarodziej tu przyjdzie – ośmielił się zauważyć chłopak.

– Przyjdzie albo i nie, jak mu tam będzie ochota – skomentował agent. – Zakładam także, że faktycznie przyjdzie. Czarodzieje to ciekawskie plemie. Będzie chciał się dowiedzieć, jaką to sprawę do niego mamy. I jeśli mam rację co do owej Mear, głupku zatracony, to będzie nasz.

Virbio przełknął ślinę i nie powiedział nic.

– Wiedz tedy, baranie niestrzyżony – perorował dalej Grandini, w przerwach między słowami pakując do ust wcale niemałe kawałki wędzonego łososia – że choć na tego maga Kapituła kłatwę nałożyła, na banicję go skazując, nie on jeden zniknął wtedy z Emain Avallach. Długo szukali potem również czarodziejki, Mitrią zwanej. Ulubienicy i uczninicy samej pani Evelyn von Stein. Nie znaleźli. Ale owa nie zawsze to imię nosiła. Przed wieloma laty przybyła do Emain jako młodziotka adeptka. Nie wiesz zapewne, skąd?

Chłopak zaprzeczył nerwowym ruchem głowy.

– Otóż – ciągnął agent, wycierając zatłuszczone palce w serwetę – losy ją przyniosły prosto z dworu królewskiego w Cantalenie. Zaginiona czarodziejka Mitria to ni mniej, ni więcej, tylko księżniczka Mear de Witten, uboga krewna króla Alfreda i jego córki, księżniczki Julii. Na cantaleńskim dworze nie za bardzo wiedzieli, co z nią zrobić. Król się szybko zorientował, że coś z kuzynką nie tak. Wszystkie księgi w bibliotece wyczytała i zamiast nad haftem siedzieć, toczyła uczone dysputy z astrologami, lekarzami, kronikarzami i innymi darmożjadami, których rację istnienia pocziwie królisko ledwie umiał pojąć. Nic nie miała prócz tytułu, bo jej świętej pamięci rodzic swoje księstewko w karty przed śmiercią przegrał. Za mąż wydać jej się nie udało, bo ledwie mówić zaczęła, przyszły małżonek uciekał jak przed jaką zarazą. Przy czym Alfred na posag skąpił, więc przyszło mu na myśl, że skoro taka uczona, pod opieką pani Evelyn będzie

jej najlepiej. Zaopatrzył więc krewniaczkę w stosowne pismo i wysłał po cichu do Emain Avallach. Przykazał zapewne, by się nie chwaliła, kim jest, więc zmieniła imię.

– I owa zaginiona Mear czy też Mitria siedzi sobie teraz z mistrzem Jardalem w wieży? – zapytał Virbio. Nie był pewny, czy wszystko do końca rozumiał. Grandini popatrzył na niego jak na zdechłego śledzia.

– Skoroś na własne oczy widział, geniuszu niedowarzony – stwierdził, zabierając się za następną porcję kraba – to pewnie siedzi.

– I jaka nam niby przyjdzie z tego korzyść? – zbuntował się wreszcie wysłannik Bractwa. Otyły szpieg jednak tym razem nie zdenerwował się, a jedynie rozciągnął szerokie wargi w tajemniczym uśmiechu.

– A taka – rzekł – że dla mistrza nie tylko marchewkę, ale i kijek mamy. Nikt dokładnie nie wie, za co właściwie wyklęła Jardala Kapituła magów. Ale ponieważ zniknęła czarodziejka... a czy ona też była wyklęta, nie wie nikt... powstało podejrzenie, że on z miłości do niej zwierchnikom się naraził. Banicja miała przywrócić obojgu rozsądek. Bo widzisz, młodzieńcze, im, czarodziejom, nie wolno wiązać się ze sobą nawzajem. Wielcy magowie z Emain Avallach żyją w celibacie – zarechotał.

– Bzdura, znałem przecież niejednego czarodzieja, który miał kochanki, albo nawet kobietę i dzieci – zaprotestował Virbio.

– A czyż to się sprzeciwia zdrowemu celibatowi? – Grandini wybuchnął rubasznym śmiechem. – To się nie liczy, poza murami Emain Avallach każdy może żyć tak, jak chce i nikomu nic do tego. Do dobrego tonu wśród czarodziejów należy nierozmawianie o, hmm... życiu osobistym. A o czym się nie mówi, tego nie ma. Ale związek dwojga magów to w ich świecie wręcz zbrodnia. Nie pytaj, dlaczego, bo nie wiem. Kto ich tam wyrozumie, tych czarodziejów. Myślę – spoważniał

i zniżył głos – że oni się po prostu boją tworzenia w swoim świecie więzi innych niż te oparte na strukturze władzy. Taktowne przymykanie oczu na kochanki i dzieci to element tego strachu. Zbudowali wokół siebie aurę mocy, autorytetu i wyjątkowości, podbudowaną realną siłą, jaką reprezentuje Kapituła i jej Mistrzynie. Nie mogą tego stracić, więc każdy z nich musi być sam, posłuszny tylko jednej sile – magii Emain Avallach.

– Skąd tyle wiesz o magach? – spytał Virbio, zdumiony szybkością, z jaką szpieg potrafił przejść od malowniczych złořezeń i opowieści wygłaszanych językiem pospolitego ludu do chłodnego, niemal naukowego wywodu.

– Słyszało się to i owo. – Grandini jakby powrócił do rzeczywistości, to znaczy do kolejnej porcji wędzonego łososia.

W tej chwili w półotwartych drzwiach stanął karczmarz i dla formalności w nie zastukał.

– Przepraszam, panowie, gość do was... Dopytuje o pana Virbio Allenmargha.

Młodzieniec i agent wymienili spojrzenia.

– Prosić – rzekł krótko Grandini.

Jardał wkroczył do sali, stukając podkutymi obcasami butów, okryty szarym płaszczem z naciągniętym głęբoko na oczy kapturem. I z nieodłączną sową na ramieniu.

– Witajcie, mistrzu – pozdrowił go agent.

– Panie Grandini... panie Allenmargh. – Skinął im głową. Przysiadł się do stołu, Virbio bez słowa zrobił mu miejsce na ławie. Obserwował maga z zapartym tchem. Czarodziej odrzucił kaptur z głowy, ostrożnie posadził sowę na oparciu pobliskiego krzesła. Ptak otworzył na moment szarozłote oczy, jakoś dziwnie inne od czarnych paciorków, jakie zwykle mają płomykówki, a potem przymknął je sennie. Chłopak miał wrażenie, że powietrze wokół czarodzieja lekko zawibrowało. Odczuwał mrowienie na karku i w czubkach palców. Mistrz Jardał utkwiał w nim na chwilę szarozielone oczy i Virbio

znów poczuł uderzenie powietrza. Pomyślał, że gdyby czarodziej po prostu przeszedł obok, nie byłby w stanie zapamiętać jego twarzy. Pod powiekami nie pozostałby konkretny obraz, a jedynie rozmazany powidok, odczucie szarości. A jednak wrażenie obecności maga było tak silne, jakby ten zaginał wokół siebie przestrzeń. Gdyby namalować jego portret – pomyślał chłopak – nie byłoby nic bardziej złudnego. Zostałby kształt, który nic nie mówi, martwa powłoka, kokon. Nawet Grandini na chwilę się zamknął.

– Jak już zapewne wiecie, mistrzu, mamy dla was ofertę. – Milczenie grubego agenta najwyraźniej nigdy nie mogło trwać długo.

Jardał nie odezwał się. Znał trochę Grandiniego, przynajmniej z widzenia i słyszenia (a po prawdzie znało go całe miasto). Nie zdziwił się wcale, ujrzawszy go tutaj, razem z młodym nieznajomym. Dionisius Grandini był człowiekiem, który potrafił wkręcić się wszędzie, dużo gadał, jadł za trzech, miał niesamowite znajomości i umiał załatwić prawie wszystko. A do tego stanowił kopalnię wiedzy o mieście i – co rzadsze – także o tym, co się działo w porcie. I z tym wszystkim jakoś jeszcze nie trafił do lochów pod Zamkiem. Najwyraźniej, choć paplał bez przerwy, mówił tylko to, co chciał, z powodzeniem udawał głupszego, niż jest, a wszyscy mieli u niego jakieś długie wdzięczności – co w dużej mierze gwarantowało mu bezpieczeństwo i powodzenie w różnych przedsięwzięciach. Jardał nie należał do ludzi, którzy dają się nabrać na pozory. Instynktownie wyczuwał w Grandinim inteligentnego przeciwnika, przed którym należy się mieć na baczności.

– Wstyd, że zaniedbujemy gościa – stwierdził agent, zagadując w ten sposób przedłużające się milczenie maga. – Gospodarzu, przynieście no jeszcze trochę wina... i tych tam waszych przekąsek. Najlepszych. Byle szybko. Ja płacę.

Jardał uprzejmie skłonił głowę.

– Słucham – powiedział, gdy tylko karczmarz uwinął się z zabraniami pustych naczyń i dostarczeniem w pośpiechu pełnych. Grandini natychmiast wpakował sobie do ust kiść winogron i zaczął obgryzać owoce.

– Oferujemy wam, mistrzu, udział w pewnym zaszczytnym dziele – rozpoczął. – I to, rzecz jasna, nie za darmo. Jak wam doniósł mój niedowarzony współnik, mamy moc pojednać was z Kapitułą i sprawić, by cofnięto wydany na was wyrok banicji.

Jardal lekko zmrużył oczy i uśmiechnął się drapieźnie, po kociemu. Mogłoby się wydawać, że wszedł do gry.

– Musimy zatem ustalić dwie kwestie – stwierdził. – A jeśli się upierać przy precyzji, to nawet trzy. Po pierwsze, z kim mam przyjemność? Chciałbym poznać tożsamość waszego mocodawcy, zanim zastanowię się nad jego ofertą. Nie wątpię, panie Grandini, że nie działacie we własnym imieniu. Po wtóre: czego ode mnie chcecie? Prościej już tego pytania zadać nie można, mam więc nadzieję, że i odpowiedź nie będzie pokretna. Następnie zaś – skąd pewność, że ja w ogóle chcę wracać z wygnania?

Virbio wstrzymał oddech, ale Grandini nie dał się zbić z pantałyku.

– No cóż, chcecie czy nie chcecie – wasza sprawa. Ale przyjemniej jest mieć wybór, czy się chce, czy nie, prawda? – rzucił niedbale. – Niemniej rację macie, mistrzu, że trzeba was wprowadzić w istotę rzeczy, a wtedy, jak mniemam, zbędziecie ostatnich wątpliwości i sami przyłączycie się do naszego dzieła. Ten tu osobnik – wskazał na wierzącego się na ławie Virbia – przybył tutaj z ważnymi nowinami. Ale zacznijmy od początku. Myślę, że nie muszę was uczyć historii tego miasta, choć mieszkacie w nim od niedawna.

– Czemu nie? Historia bywa pouczająca – odparł równie swobodnie czarodziej. – Zaś najbardziej w niej interesujące jest to, że ma dziwną właściwość zmieniania się w zależności

od tego, kto ją opowiada. Chętnie więc posłucham kolejnej wersji, choć oczywiście, wybierając Castelburg na miejsce mojego odosobnienia, doskonale wiedziałem, co tu zaszło. Kto wie, może właśnie dlatego go wybrałem. Prawdziwą samotność można znaleźć tylko w cieniu tyranii.

Grandini zignorował tę paradoksalną sentencję i odparł swobodnie:

– Cieszy mnie wasze zainteresowanie historią. Zatem posłuchajcie. Pięć lat temu panowała tu jeszcze taka sobie oligarchiczna demokracja. Cechy miały monopole, rzemiosło i kupiectwo kwitło, a każdy stan wiedział, co do niego należy. A potem stopniowo mieszczaństwo wzrosło w siłę i ubzdurało sobie, że do szczęścia brakuje mu tylko przywilejów należnych szlachcie. Za mało im było miejsc w Radzie Pięćdziesięciu. Chcieli prawa do noszenia herbowych kolorów, zniesienia ustaw o ograniczeniu zbytku i takie tam. Szlachta, rzecz jasna, zupełnie te śmieszne postulaty zignorowała. Ile było mieszczańskich partii i partyjek i o co się między sobą żarły, sam diabeł się nie wyzna. Szlachcie natomiast przewodził możny ród Malatestów, zawierając i zrywając sojusze wedle własnego uznania. I zawarli, niestety, sojusz dość niefortunny. Porozumieli się z seneszalem Kayerlem z Tradivy, stojącym na czele stronnictwa białych, a on obiecał im pomoc przeciwko castelburskim mieszczanom, jeśli oni najpierw dadzą mu zbrojne wsparcie w walce z tradivskimi brunatnymi. Więc wystawione przez Malatestów najemne wojska pomaszerowały do Tradivy. I już nie wróciły. Zostały rozbite w puch, głównie przez kondotierów w służbie brunatnych pod wodzą niejakiego Jastrzębia.

Jardał skinął głową. To działo się na długo przed jego przybyciem do miasta, ale słyszał co nieco, znał nazwisko Malatesta, dotarła do niego krwawa legenda Jastrzębia. Jednak rozgrywki pomiędzy szlacheckimi i mieszczańskimi stronnictwami były charakterystyczne dla większości spośród Wol-

nych Miast i maga nie ciekawiły szczegóły. Wynajmowanie kondotierów do walk o dominia nie wydawało się niczym niezwykłym.

– Ród Malatestów przestał istnieć – ciągnął Grandini. – Piero poległ, jego synowie również, inne szlacheckie rody zaczęły walczyć o schedę, ale nikt nie miał takiego autorytetu, żeby zgromadzić wszystkich wokół siebie. Castelburscy mieszczanie, korzystając z zamieszania, zaczęli wprowadzać własne porządki. Niejaki Soderini zdobył poparcie kilku mieszczańskich stronnictw, ustanowił się naczelnikiem, rozwiązał Radę Pięćdziesięciu, ściął parę głów, kilka znaczących rodów wygnał z miasta. Chaos trwał przez jakiś czas, ale potem wszystko się mniej więcej unormowało. Aż do czasu, kiedy trzy lata temu przybył tu niejaki Machiavello Niccoli, wcześniej prawa ręka Piera Malatesty. Wrócił, ale nie sam. Z nowym panem. Tym, którego twarzy nikt nigdy nie widział i którego nazwiska nikt nie zna. Nazywają go po prostu Księciem, a na sam dźwięk tego nazwania nasz obecny tu przyjaciel gotów ze strachu zepsuć nam powietrze. Ale nie martw się, chłopcze – zwrócił się do Virbia – bo tak samo reaguje połowa Castelburga. – Agent podrapał się po nosie, westchnął i wrócił do przerwanej opowieści: – Wcześniej Książę odniósł zwycięstwo nad najemnikami Jastrzębia w jakiejś kolejnej fazie walk o Tradivę. A potem nagle najechał Castelburg. To był przemyślany atak. Pewnego dnia po prostu wkroczył do miasta na czele kondotierów. Żołnierze błyskawicznie opanowali Zamek Cieni, bramy, prochownię, koszary i wszystkie strażnice. Gdy Książę przybył, głowa Soderiniego spadła z karku, a reszta tak jakoś z dobrej woli i czystego szczęścia na wszystko się zgodziła. Zaś ci spośród szlachty, którzy wcześniej wrócili spod Tradivy i jakoś dogadali się z naczelnikiem... i tu dochodzimy do sedna naszej opowieści... uznali w pośpiechu, że wolą zmienić klimat. Przynajmniej ci, którzy mieli głowę na karku. Jeszcze. Czy ta wersja historii zadowala cię, panie?

– Na razie tak. – Czarodziej skinął głową. – Wspomniałeś coś jednak, panie Grandini, o dochodzeniu do sedna.

– Już pośpieszam. Ani myślę na szwank wystawiać waszej cierpliwości. Otóż szlachta na wygnaniu rozpierzchnęła się częściowo, ale jej przywódcy nie zamierzali zakładać rąk ani tracić czasu. A byli tacy, którzy mieli za sobą kilka kadencji w Radzie Pięćdziesięciu i znali tajemnice Zamku Cieni. Tego samego castelburskiego zamku, który teraz zamieszkuje Książę. I oni właśnie założyli Bractwo Wolnych Miast. Nie będę obrażał twojej inteligencji posądzeniem, że nie domyśliłeś się, iż to właśnie ono jest naszym tajemniczym mocodawcą. Jego cele są jak na razie może zbyt dalekosiężne. Ale na początek członkowie Bractwa chcą wrócić do domu, to znaczy odzyskać Castelburg. A ty nam w tym pomożesz. Mówiąc po prostu, trzeba zabić Księcia.

W komnacie jakby na chwilę pociemniało. Virbiowi ścierpła skóra.

– A tak konkretnie chcemy, żebyś ty go zabił – dodał beztrąsko Grandini.

Jardal odchylił się na ławie i demonstracyjnie ziewnął.

– Pomyliliście się, panowie – powiedział. – Jestem czarodziejem, nie płatnym skrytobójcą.

– I właśnie dlatego potrzebujemy ciebie – odparował agent. – Skrytobójca to tam nawet nie przejdzie przez drzwi. Księcia chroni magia.

– Może jakiś słaby amulet.

– Nie, zapewniam cię. Prawdziwa magia.

– Niemożliwe. – Jardal spowaźniał. – Za tym musiałby stać czarodziej z Emain Avallach, a żaden mag nie będzie służył władcy. Zaprzysiężonych czarodziejów Kapituła zobowiązuje, by nie mieszała się do polityki.

– I tu dochodzimy do kolejnego sedna. Nasza sprawa jest najwyraźniej jak cebula, można ją obłuskiwać, a i tak zawsze jakieś głębsze sedno się znajdzie. – Grandini wyszczerzył

zęby w szerokim uśmiechu. – Wyżsi rangą członkowie Bractwa mają dobre kontakty z niektórymi ważnymi osobistościami z Kapituły. Te osobistości pozaciągały, nazwijmy to, długi. Czasem w przysługach, czasem w złocie. Na szczegóły przyjdzie czas, ale mogę cię zapewnić, że jeśli pomożesz Bractwu, sprawi ono, że wdzięczność Kapituły nie będzie miała granic.

– Och, jej granice są ciaśniejsze, niż ktokolwiek może przypuszczać – zakpił mistrz, ale tym razem już mniej pewnym tonem. – Poza tym wasze założenia są błędne.

– Skąd możesz wiedzieć...

– Po prostu wiem. – Uciał ostro. – A jakie to osobistości z Kapituły mają długi u członków Bractwa, jeśli wolno wiedzieć?

– Nie wolno. – Grandini uśmiechnął się szeroko. – To jest tak tajne, że nawet ja tego nie wiem. Jeśli nie wierzysz we wdzięczność swoich konfratrów, zapewniam, że mamy również inne argumenty. – Podniósł puchar wina i przepił do czarodzieja, który na to nie zareagował. – Gdy już przystąpisz do nas, zrobimy wszystko, by uśmierzyć twoją nieufność.

– Wbrew temu, co twierdzisz, niewiele wiesz o magach, Grandini. Czarodziej nie zwykł do niczego przystępować. Nadto, jak powiedziałem, nie jestem płatnym skrytobójcą – odparł Jardal opryskliwym tonem.

– A któż tu mówi o zabójstwie – oburzył się teatralnie agent. – Przybyłeś tu już po burzy, mistrzu, więc może opowiem ci parę pouczających historyjek. – Wziął ze stołu nóż, zaczął odkrawać małe kawałeczki sera i na czubku ostrza podawać je sobie do ust. – Złotnicy i sprzedawcy pachnideł byli przeciwni prześladowaniu szlachty, bo straciliby połowę klienteli. Ośmielili się iść z petycją do Księcia. Rodzinom odniesiono ich głowy, ładnie udekorowane drogimi kamieniami. Władca wszak nie jest skąpy.

Virbio, siedzący na ławie obok czarodzieja, skurczył się w sobie. Nie słyszał wcześniej tych opowieści i właśnie za-

czynął dostrzegać luki w swoim wykształceniu. Zabrano go z rodzinnego domu, gdzie i tak, jako młodszy syn, nie był szczególnie potrzebny, i uczono walki. Nikt jednak nie uczył go, jak zdobywać wiedzę i szersze spojrzenie na sytuację, w jakiej się znalazł. Castelburg, o którym słyszał wyłącznie ponure legendy, przerażał go. Chłopak obserwował teraz nieruchomy profil maga, który słuchał opowieści szpiega bez drgnienia powieki. Siedząca na oparciu krzesła sowa mrużyła niepokojące, szarozłote oczy.

– Kilka cechów, których członkowie byli zwolennikami tyranii Soderiniego – mówił dalej Grandini – wystąpiło przeciwko Księżciu. Postawili barykady i bronili się w portowej dzielnicy. Otoczono ich i po krótkiej walce zmuszono do poddania się. Książę powiedział, że zachowają życie, pozbawi ich tylko przyszłości. Po czym z każdej rodziny zabrano mężów i żony, zakneblowano ich i przywiązano do pali na nabrzeżu. Musieli patrzeć na to, jak ich dzieci – wszystkie poniżej siedemnastu lat – po kolei spychano z trapu do morza. A kiedy żołnierze Księcia już skończyli, rozwiązali wszystkie kobiety i zgwałcili je na oczach mężów. Dziewczęta powyżej siedemnastu lat, które uniknęły utopienia, też zgwałcili. Taki los spotyka przeciwników nowej władzy. – Swoimi małymi oczkami wpatrzył się przenikliwie w maga. – Zapewniam cię, mistrzu, że to tylko niektóre przykłady – powiedział. – Taktownie wybrane, aby nie urazić twych wrażliwych uszu.

Jardal nie skomentował.

– Do tego – ciągnął Grandini, nadal bawiąc się nożem, choć już zabrakło sera – to nie są, jak mógłbyś mniemać, przepychanki pomiędzy stronnictwami. Do czegoś takiego to i mnie nie chciałoby się przykładąć ręki. Tu chodzi o dobro miasta. Monopole cechów nie znaczą już nic. Nie ma prawa, nie ma sprawiedliwych sądów czy w ogóle jakichkolwiek sądów, jest tylko wola obecnego władcy. Każdy, kto przekracza bramę, może bez zapowiedzi i bez wyroku wylądować w lo-

chach pod Zamkiem Cieni. Strażnicy i gwardziści rewidują, kogo chcą i konfiskują, co tylko chcą. Bogaci kupcy i bankierzy muszą płacić olbrzymie haracze. Mam mówić dalej?

Czarodziej zaprzeczył ruchem głowy. Uśmiech już dawno zniknął mu z twarzy.

– Zatem?... – zapytał agent. – Powiedzmy, że nie będziemy obrażać cię posądzeniem, jakobyś mógł zniżyć się do zabójstwa. Chcemy zaoferować ci udział w wielkim dziele. W obaleniu tyrana i przywróceniu miastu prawowitej władzy. Nie zabójstwo, a udział w zamachu. Zbadanie sprawy. Ochrona przed magią, złamanie barier.

Jardal odchylił się na ławie.

– No cóż, panowie... Nie mówię tak, nie mówię nie. Zastanowię się.

– Tylko nie namyślaj się zbyt długo. Bo możemy stracić do ciebie zaufanie i zacząć pracować nad tobą... z mniejszą dozą delikatności.

Mag roześmiał się głośno.

– Groźby, panie Grandini? Swoją drogą ciekawym, co takiego moglibyście mi zrobić.

Grandini wzruszył ramionami z miną mówiącą, że nie zamierza zniżyć się do pogrózek, bo to uwłacza zarówno jemu, jak i rozmówcy.

– Muszę stwierdzić, że odważni jesteście, panowie – zauważył Jardal. – Rozmawiać o zabójstwie Księcia w biały dzień, w winiarni, przy otwartych drzwiach...

Virbio wzdrygnął się i z lękiem popatrzył w okno, ale starszy agent tylko pochylił się do przodu i rzekł konfidenicznym szeptem, uśmiechając się chytrze:

– Tak się składa, mistrzu, że wasze przenikliwe oczy nie wszystko mogą od razu zobaczyć. Ściany tej izby wyglądają na drewniane, ale deski to tylko jedna warstwa. Dzielą ją od prawdziwej ściany jakieś dwa cale przestrzeni, wypełnionej wełnianym puchem. Nie ma niczego, co by lepiej zagłuszało

dźwięki. Klienci to w większości ludzie znani karczmarzowi i mnie. Nowi rzadko zaglądną do tej winiarni, a jeśli nawet przez pomyłkę ktoś tu trafi, zwykle spotyka go jakaś niemiła przygoda, na przykład utrata sakiewki. Lepsze to, przynasz, od podejrzenia gardła w ciemnym zaułku. Karczmarz Arno to mój stary druh z czasów, gdy pływaliśmy na jednej galerze. Służył pod moim ojcem. A ten tu młody głupiec, który przywiózł mi nowiny i rozkazy, to autentyczny szlachcic z Blevingardu, który nigdy wcześniej nie był w Castelburgu i nie można go podejrzewać o żadne powiązania, bo naprawdę ich nie ma.

Virbio wpatrzył się w Grandiniego, zafascynowany faktem, że plotki o jego korsarskiej przeszłości miały najwyraźniej jakieś podstawy. Czarodziej zaś wstał, dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną.

– Niepotrzebny nadmiar informacji zachowajcie dla siebie – powiedział, narzucając na głowę kaptur i z powrotem ostrożnie sadzając sobie na ramieniu sowę. – Jako się rzekło, zastanowię się.

– Ależ informacje godzi się wymieniać – powiedział Grandini. – My też posiadamy niektóre... znacznej zapewne wagi, choć trudno to jeszcze w tej chwili ocenić. Wiemy na przykład, że czarodziejka Mitria jest księżniczką Mear. I do tego zdaje się wiemy, gdzie ona obecnie przebywa.

Jardał, który już zmierzał do wyjścia, obrócił się w drzwiach.

– Wiedza może być niebezpieczna. Pamiętajcie o tym, panie Grandini – powiedział i wyszedł.

– Połknął haczyk – stwierdził agent, zabierając się za masakrowanie nożem resztki łososa.

*

Witrażowe okna powoli osnuwał zmierzch. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wydobywały ostre obrysy przedmiotów, kładąc za nimi długie cienie. Dwa fotele stojące przed

wygasłym kominkiem powoli ogarniał mrok. Na jednym z nich siedział mężczyzna w szarym płaszczu, na drugim odychała szybko i płytko mała sowa płomykówka. Po chwili miejsce, na którym siedziała, wciągnął w siebie powietrzny wir, zamazując kontury, barwy, kształty, wciskając oddech do gardła. I oto naprzeciwko siedziała już drobna rudowłosa kobieta, skulona i drżąca.

Chciał coś powiedzieć. Chciał przygarnąć ją do siebie. Zamknął w ramionach.

– Nie dotykaj. – Odsunęła jego dłoni.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, skurczonej grymasem. Potem dłonie czarodziejki rozprostowały się i ułożyły na poręczach fotela. Z westchnieniem ulgi opadła na oparcie.

Przygryzł wargi i zapatrzył się w okno, w gasnące nad miastem światło dnia.

– Mamy dla siebie tylko dwie godziny na dobę – powiedział cicho. – Dwie Godziny Zmieszania Światła. A poza tym mówimy do siebie, czujemy swoją obecność, a i tak...

Nie dokończył. Znalazła się przy nim. Blisko.

Obraz pod powiekami. Ta koszula. Mokra, oblepiająca piersi, zakończone małymi, spiczastymi sutkami. Zwalczył pokusę, żeby zanurzyć się w zapomnieniu. Zbyt wiele mieli do omówienia.

– Co sądzisz... – zapytał i roześmiał się, bo ona w tej samej chwili zadała identyczne pytanie.

– Grandini wiedział, że tu jesteś – powiedział, poważniejąc.

– Bo nie jest głupi. Sama podałam temu młodemu swoje imię. Połączył fakty.

– Myślisz, że mogą mieć jakiś rzeczywisty wpływ na Kapitule? Teoretycznie to niemożliwe. Wszyscy składamy Przysięgę.

– I różnie ją interpretujemy. – Mitria odgarnęła z czoła rude włosy. – Myślę, że Grandini kłamie albo w najlepszym razie przecenia możliwości swoich mocodawców.

– A nawet gdyby mówił prawdę... – zaczął Jardal.

– ...to wpływ na niektórych członków Kapituły nie oznacza jeszcze wpływu na Evelyn von Stein. A Mistrzynie Glińskiej Pieczęci nie ustąpi. Nasza droga Evelyn ma osobowość tarana bojowego.

Czarodziej parsknął krótkim śmiechem, ale zaraz potem jego oczy zwęziły się nienawistnie. Nie potrzebowali mówić o tym więcej. Pozwolili sobie na krótką chwilę pełnych znaczenia przemilczeń.

– Problem z propozycją Grandiniego polega na tym, że on sam nie wie, o co właściwie prosi – przerwał ciszę Jardal. – Żąda ode mnie zabicia Księcia albo przynajmniej pomocy w unieszkodliwieniu chroniącej go magii. I najwyraźniej nasz szpieg nie wie o tym, że dla nas jego oferta ma wielce dwuznaczny sens. Kusi powrotem do łask Kapituły, wymagając naruszenia jej praw.

Mitira potarła czoło.

– *Zaiste, nikt nie wie, co zapisane jest w Głębinach Czasu i jaki obrót przybrać ma...*

– *...Koło Dziejów. I nie w naszej zaiste mocy popychać naprzed jego bieg* – dokończył za nią formułę Przysięgi magów. – Właśnie. Grandini nie wie, że nie wolno nam, czarodziejom, robić czegokolwiek, co zmieniloby bieg historii politycznej. A udział w zamachu na Księcia byłby właśnie czymś takim. Nawet jeśli złamaliśmy jeden zakaz, nie oznacza to przecież, że lekceważymy wszystkie.

– Ale z drugiej strony, jeśli ktoś w Zamku używa magii, to...

– ...łamię w ten sposób Przysięgę i należałoby to zbadać. Tak. Paradoks.

Zamyślili się na chwilę, zasłuchani w swoje odrębne wewnętrzne monologi, aż w końcu Jardal odezwał się ostrożnie:

– Wiem, że ty też pamiętasz Torego Harberga.

– Wierz mi, próbowałam zapomnieć. Nie dało się. – Twarz Mitrii ściągnęła się, a oczy poszukały horyzontu za oknem, jakby próbując odegnać niechciany widok.

– Również dlatego?... – zapytał.

– Tak, dlatego. Nigdy więcej wyroków śmierci.

Wsparła głowę na jego ramieniu. Jej bose stopy nie dotykały podłogi i siedząc tak, zwinięta w kłębek przy jego boku, drobna, sprawiała wrażenie prawie dziecka. Dłoń Jardała wplątała się w jej włosy, pachnące tatarakiem, a może wspomnieniem mokrych sowych piór. Patrzyli w okno. W promieniach zachodzącego słońca wirowały drobiny kurzu. Światło padało na stół, na którym piętrzyły się książki, pióra i karty pergaminu. Mitria uśmiechnęła się blado, patrząc na dwa miejsca do pracy, wykopane w tym stosie po obu stronach stołu. Po jednej stronie piętrzył się stos ksiąg i całkiem spory zapisanych kart – to był już prawie ukończony traktat Jardała. Pióro, już niemal zupełnie stępione, leżało rzucone w poprzek zapisanej zamasztyłym pismem strony. Naprzeciwko widać było jej miejsce pracy, na którym również panował bałagan, choć stos zgromadzonych książek był trochę niższy. Swoje zapisane pergaminy wołała zwijać w rulony, których pełno wałało się teraz na stole. Piór było więcej – gromadziła je prawie obsesyjnie i równie natrętnie ostrzyła. Nożyk do przycinania leżał tuż obok karty. W srebrnym lichterzu tkwiła świeca. Jardał nie potrzebował dodatkowego światła. Pracował w dzień.

Mitria popatrzyła za okno, po czym zwróciła wzrok na czarodzieja.

– Mamy mało czasu – powiedziała cicho. – Co postanowimy? Chcesz podjąć współpracę z Bractwem?

– Na naszych warunkach. – Podniósł głowę. – Zamachem niech się zajmą sami, choć to, co Grandini opowiedział o początkach rządów Księcia, sprawia, że patrzę na ich poczynania bez obrzydzenia.

Czarodziejka skinęła głową. Zsunęła się z fotela i jednym ruchem szczupłej dłoni wygładziła sukienkę. Stąpając bosymi stopami po drewnianej podłodze, podeszła do stojącej w rogu szafy, wyjęła z niej gąsiorek wina i dwa pucharki. Nalała. Ob-

serwował ją ze swojego miejsca. Myślał o tym, że kiedy zamknie oczy, będzie trwała pod jego powiekami. Krucha i silna.

Podawała mu puchar i sama upiła głęboki łyk.

– To nie jest czysta sprawa – powiedziała, potrząsając głową. – Nie ma żadnej gwarancji, że tamci będą lepsi. Że nie będą mścić się krwawo na zwyciężonych, dokonywać egzekucji tych, którzy kiedyś przyczynili się do ich wygnania. Zasada Kapituły o niepopychaniu naprzód Koła Dziejów nie jest w gruncie rzeczy taka głupia.

– Zapewne – odpowiedział. – Ale tym ludziom odebrano wszystko. Czy zawsze mądrze jest stać z boku i bać się decyzji, bo każda obciążona jest ryzykiem? A poza tym – chwycił jej dłoń – jestem gotów na wiele. Dla nas. Pluję na Kapitułę, ale niech ktoś wreszcie, do wszystkich demonów, zdejmie tę pieprzoną klątwę. Bo jak długo można tak żyć.

– Prawie trzy lata – powiedziała rzeczowym tonem. – Chyba można, bo żyjemy. Blisko rok tułania się po pustkowiach, nocowania w wieśniaczych chatkach, w ruinach zamków i po gospodach rojących się od pcheł. A potem dwa lata w Castelburgu. Bo wymyśliliśmy sobie, że w dużym mieście, w którym od niedawna rządzi paskudny tyran, nikt nie będzie nas szukał. Nie musimy z nikim rozmawiać i nikt nie musi rozmawiać z nami, a księgi możemy sprowadzać przez zaufanych kupców.

– I do tej pory pomyśl się sprawdził. Wyjąwszy małą niedogodność. Nie mogę cię dotykać, jakbym chciał. Ani z tobą porozmawiać.

Wyjęła z jego dłoni pucharek i odstawiła na podłogę.

Trwało milczenie, pełne ich dwojga. Puste od niewypowiedzianych klątw.

Okna zaciągnęły się zmierzchem.

Przestrzenią zawładnął powietrzny wir. Mitria spojrzała wprost w szarozielone oczy ogromnego burego kota. Zamknęła powieki, żeby odpędzić szturmujące świadomość obrazy

tego, co było. Co zdarzyło się zwyczajnie, bez planu, bez należytego namysłu, jakby ich dwoje nie miało żadnego wpływu na swoje małe, prywatne Koło Dziejów.

Noc kota, dzień sowy: Zamek Cieni
Copyright © Marta Kładź-Kocot
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2017 r.

druk ISBN 978-83-7995-131-4
epub ISBN 978-83-7995-132-1
mobi ISBN 978-83-7995-133-8

Redakcja: Małgorzata Antczak
Korekta: dr Mirosław Gołuński
Projekt i ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Konwersja: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl
Skład i typografia: Marcin A. Dobkowski | www.proAutor.pl
Redaktor naczelny: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl



Marta Krajewska

Idź i czekaj mrozów



 GENIUS
CREATIONS

IDŹ I CZEKAJ MROZÓW MARTA KRAJEWSKA

W świecie, gdzie puszcza włada leszy, w jeziorze żyją topielce, a nocami wśród chat przemykają zmyły i strzygonie, młodzianka Venda musi stanąć na straży bezpieczeństwa mieszkańców Wilczej Doliny. Przyjdzie jej mierzyć się nie tylko z bogami czy stworzeniami nocy, ale znacznie groźniejszymi przeciwnikami: samotnością, strachem i wątpliwością.

Na oczach Vendy wypełnia się starożytne proroctwo. Do Wilczej Doliny powraca DaWern – ostatni z Wilkarów. Zemsta Pana Lasów za rzeź jego dzieci wydaje się nieunikniona. Czy zakazana miłość stanie na drodze przeznaczeniu, czy też pozwoli wypełnić przerażającą przepowiednię? Jak potoczą się losy zakochanego w zielarce syna karczmarza, pięknej minstrelki Stalki, towarzyszącego jej wojownika i innych mieszkańców wioski, z których każdy skrywa swoje tajemnice?

„Stare opowieści krążą między nami, a my żyjemy między nimi. Podążałem znajomymi tropami, gubiłem się w nich i dawałem oplatać pełnej grozy magii, w którą schwytała mnie autorka.” – **Paweł Majka**, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

PIERWSZY TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

Marta Krajewska
Zaszyj
oczy wilkom



 GENIUS
CREATIONS

ZASZYJ OCZY WILKOM MARTA KRAJEWSKA

Podczas każdej pełni księżyca mieszkańcy Wilczej Doliny ryglują drzwi w chatach i siedzą w ciszy, nasłuchując z niepokojem wycia wilkołaka. Pochłonięta własnymi kłopotami Venda nie potrafi w pełni poświęcić się obowiązkowi Opiekunki. Nikt nie wie, jak wygórowaną cenę zapłaciła dziewczyna za pomoc otrzymaną od Pana Lasu i jak długo jeszcze będzie jego dłużniczką.

Atra, niepomna ostrzeżeń, pragnie nie tylko odzyskać to, co utraciła, ale również zemścić się. W trakcie swoich poszukiwań odkrywa, że być może ostatni z wilkarów będzie w stanie jej pomóc. Czy jednak jej starania nie doprowadzą do jeszcze większych nieszczęść? Więź łącząca Vendę i DaWerna nie może zostać zerwana bez straszliwych konsekwencji.

W świętym gaju bogowie milczą, a Venda czuje się opuszczona i bezsilna. Nad Wilczą Doliną zapada zmrok...

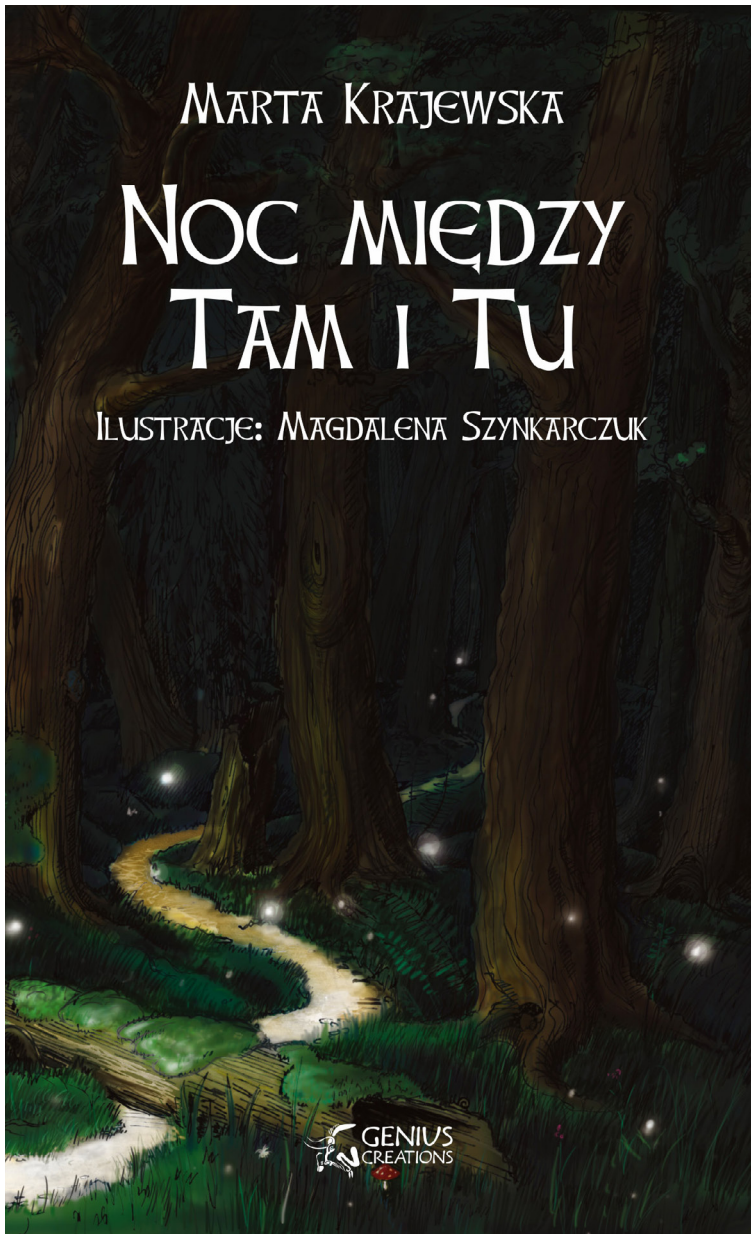
„Nikt, tak jak Marta Krajewska, nie potrafi przedstawiać słowiańskiej fantasy poprzez lokalność z jej barwnymi obrzędami i rytuałami. „Zaszyj oczy wilkom” nie jest kolejną epicką opowieścią o zbiorowisku herosów albo jeszcze jedną wariacją na temat „Gry o Tron”. To oryginalna, swojska a przy tym tajemnicza fantasy.” - Paweł Majka, autor „Pokoju światów” i „Wojen Przestrzeni”, dwukrotny zdobywca Literackiej Nagrody im. Żuławskiego

DRUGI TOM OPOWIEŚCI Z WILCZEJ DOLINY

MARTA KRAJEWSKA

NOC MIĘDZY TAM I TU

ILUSTRACJE: MAGDALENA SZYNKARCZUK



 GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

NOC MIĘDZY TAM I TU MARTA KRAJEWSKA

Oto wzruszająca historia siedmioletniego Bratmiła. Pewnej letniej nocy samotnie wyrusza na poszukiwanie swojej siostrzyczki, małej Paprotki. W lesie spotka istoty ze słowiańskich baśni i legend, które pomogą mu odnaleźć nie tylko ją, ale przede wszystkim siebie.

Marta Krajewska z wdziękiem porusza trudny temat rywalizacji między rodzeństwem. Zaprasza dzieci i ich rodziców na wyprawę do spowitego słowiańską magią świata. Z wyprawy Tam Wasze pociechy wrócą Tu odmienione i bardziej kochające.

OPOWIEŚĆ Z WILCZEJ DOLINY

MARCIN A. GUZEK



KOMANDORIA 54

SZARE PŁASZCZE

[Kup książkę](#)

KOMANDORIA 54 MARCIN A. GUZEK

Na rubieżach upadającego Imperium, w dowodzonej przez Olafa Komandorii 54, stacjonuje grupa nowicjuszy Zakonu Szarej Straży. Ten mały i niedoświadczony oddział ma za zadanie egzekwować prawo i zapewnić osadnikom bezpieczeństwo. Nie będzie to jednak proste.

Na pograniczu schronienia szukają adepci zakazanych sztuk, przestępcy i zbiegli niewolnicy. Granicę przekraczają dzikie plemiona, a w łupieżczych wyprawach towarzyszą im potężni szamani i nadprzyrodzone istoty. Imperium wystawia przeciwko nim nie grupę rycerzy w lśniących zbrojach, a niedoświadczonych rekrutów pod wodzą zgorzkniałego weterana. Czy to może się skończyć inaczej niż pożogą i zgliszczami, płaczem ocalałych i lamentem wziętych w niewolę?

„Przyjemny mariaż historycznej wiedzy autora z fabularną lekkością, przyprawiony ostrymi żeleźcami toporów i świstem strzał. W sam raz by umilić deszczowe popołudnie.” - Jacek Łukawski, autor „Krew i stal” i „Grom i szkwał”

PIERWSZY TOM SZARYCH PŁASZCZY

DANIEL NOGAL

BETELOWA

— REBELIA —



SPISEK

 GENIUS
CREATIONS

Kup ksi k

BETELOWA REBELIA: SPISEK DANIEL NOGAL

W Betelii, leżącej na krańcu świata tropikalnej kolonii, ścierają się interesy dwóch mocarstw: Regalium i Septium. W ich cieniu rozgrywa się prawdziwa walka pomiędzy zupełnie nowymi graczami: wszechwładnym Bankiem Rotów i tajemniczą Lożą Mechanistów. Napiętą sytuację komplikuje antykrólewska rebelia, wzniecona przez szlachetnych idealistów, dążących do wyzwolenia kolonii spod imperialnej władzy Regalium.

W „betelową rebelię” zaangażuje się, ku własnemu zdziwieniu, nałogowy hazardzista Angus, odważna dziennikarka Marta Brus i wielu innych. Będzie wśród nich szalony profesor Fergus, badający zwyczaje nagów, gadzich mieszkańców Betelii. Tłem dla losów rewolucji okażą się podróże przez malowniczą dżunglę, zapomniane świątynie, niezwykle wynalazki, pirackie zamki na rajskiej Tygryskiej Wyspie... Betelia stanie w ogniu! Jaki będzie los rebeliantów?

„Porządne, awanturnicze fantasy. Jest tu bunt i spisek, są walki i pościgi oraz twardzi bohaterowie. Nogal stworzył wciągający świat, a to dopiero początek serii!” - **Marcin Jamiołkowski**, autor „Okup krwi”, „Order”, „Bezseni”

PIERWSZY TOM BETELOWEJ REBELII

REMIGIUSZ MRÓZ

CHÓR
ZAPOMNIANYCH
GŁOSÓW



 GENIUS
CREATIONS

[Kup książkę](#)

CHÓR ZAPOMNIANYCH GŁOSÓW REMIGIUSZ MRÓZ

Okręt badawczy „Accipiter” przemierza bezkres kosmicznej próżni, a jego załoga pogrążona jest w głębokiej kriostazie. Nieliczni świadomi są dramatu, który rozgrywa się na pokładzie.

Astrochemik Håkon Lindberg budzi się przedwcześnie z kriogenicznego snu i widzi, jak ginie jeden z ostatnich członków załogi.

Prócz niego rzeź przetrwał tylko nawigator, Dija Udin Alhassan.

Czy to on jest odpowiedzialny za fiasko misji? A może stoi za tym jakaś niewypowiedziana siła? Obca cywilizacja? Nieokreślony byt? Ludzkość podróżuje między gwiazdami, odkrywa miriady światów, ale nigdy nie napotkała żadnych oznak życia.

Chór zapomnianych głosów to SF z tempem właściwym powieściom sensacyjnym, intrygą iście kryminalną i klimatem rodem z horrorów. Zakończenie powinno zaskoczyć nawet najbardziej przewidującego czytelnika.

Jacek Wróbel

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina



 GENIUS
CREATIONS

Kup książkę

CUDA I DZIWY MISTRZA HAXERLINA JACEK WRÓBEL

W wozie Mistrza Haxerlina można znaleźć najbardziej kurioz... wszechstronne artefakty, takie jak stos rogów ostatniego jednorożca, oryginalne kopie mieczy z najgłębszych czeluści piekieł czy bezdenne dzbany na wino. Godziwe zarabianie na życie sprzedawaniem tych dziwów wiąże się jednak z niebezpieczeństwami czyhającymi na dzielnego przedsiębiorcę: demonami, bandytami, krwiożerczymi kapitalistami, seksaferami, reklamacjami i dawnymi kolegami ze studiów.

Czy Mistrz Haxerlin poradzi sobie ze wszystkimi kłodami rzucanymi mu pod nogi przez los? Czy, o zgrozo, odkryje w sobie altruistę? Kto wie, jakie niespodzianki przyniesie życie właściciela obwoźnego magicznego kramiku...

“Życie wędrownego maga i alchemika powinno być ustane różami. Zazwyczaj tak bywa. Haxerlin właściciel wędrownego kramu “Cuda i Dziwy” ma podwójnego pecha. Nie jest ani prawdziwym magiem ani prawdziwym alchemikiem. Dlatego oprócz wciskania ludziom kitu musi sobie dorabiać. Na przykład przemytem. Niestety życie wędrownego oszusta i kombinatora pełne jest trudów i niebezpieczeństw. W dodatku orznięci klienci potrafią całe lata chorwać urazę...”
- **Andrzej Pilipiuk**, jeden z najpoczytniejszych polskich pisarzy fantastycznych, “ojciec” Jakuba Wędrowycza

PIERWSZY TOM PRZYGÓD HAXERLINA